

TYGODNIK JEDNOSTEK WOJSKA NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

APW

Nr 12 (104) Rok III

CENA 10 MLS.

M. P. 24 MARCA 1946 R.

P Y T A N I A

„Wyrzec się bytu narodowego, to znaczy wyrzec się wpływu na kształtowanie rzeczywistości ludzkiej, to znaczy własną duszę unieczystwić, bo ta żyje i działa tylko przez naród. Dlatego też pytań co do istnienia narodowego się nie stawia, bo znaczą one tyle samo, co pytania, czy chcemy być zdegradowani poniżej godności człowieka“.

(St. Brzozowski: „Idee“).

„Czy chcesz wracać do Polski, czy nie?“ — oto pytanie, wobec którego stawia się dziś każdego żołnierza polskiego.

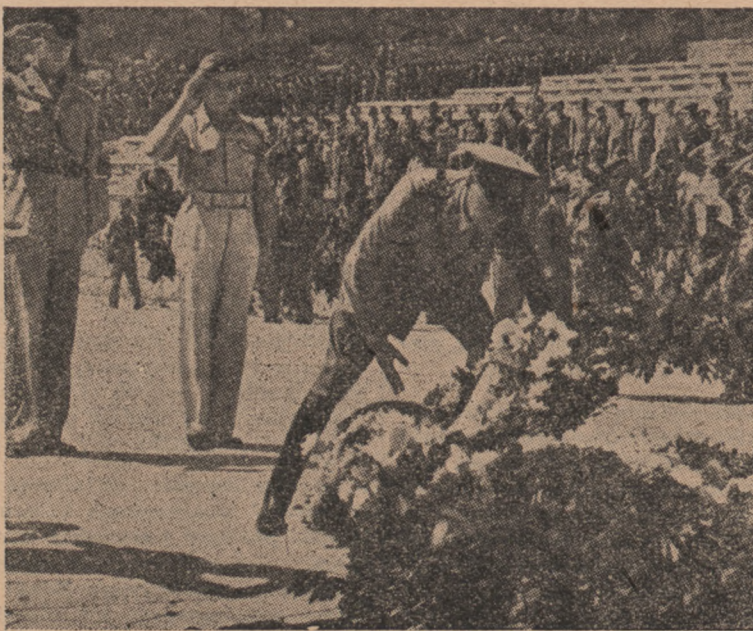
Postawiono to pytanie nam tułaczom, żerającym tęsknotą najbardziej dogłębną od lat sześciu, nam żołnierzom, którzy od lat sześciu nieustannie i uparcie przebijamy sobie drogę z a w s z e d o P o l s k i, bagnietem, kulą, czołgiem, samolotem bojowym; nam, którzyśmy ułożyli tę drogę do Polski tysiącami i setkami tysięcy poległych czy zamęczonych naszych braci, kolegów, towarzyszy broni.

Nie pytano nas wtedy, gdyśmy walczyli, co my robimy, dokąd — szaleni — idziemy, gdyśmy, bagnietem i piersią na pociski wroga otwartą wyrąbywali wolność i byt niezależny Anglii, Francji, Norwegii, Belgii, Holandii, Włochom — ba, Egipcjom — nawet. Nie pytano nas, czego szukamy w śniegach Norwegii, pustyniach Libii i górach Italii. Nie pytano, czemu nie trwamy biernie w Kraju, jak czynili to ci, którzy mieli Hachów i Quislingów.

Nie pytano, bo wiadano, że wierzymy, iż wyrąbując wolność innym — wyrąbujemy wolność Polsce, że w tym ciężkim i krwawym trudzie idziemy z a w s z e d o P o l s k i. Wtedy rozumiano, że są sytuacje, w których ażeby mieć Polskę, trzeba się zdobyć na to, by z Niej wyjść i zachować prawo walki o Nią.

Nie pytał nas złowrogi i od samego początku tej wojny aż po dzień dzisiejszy zdradziecki nasz sąsiad, kiedy miliony Polaków wywoził przymusowo na zagładę w pustosza Kazachstanu, śniegi Syberii i tajgi za kołem polarnym. Dziś mówi on o powrocie. Wtedy nie pytał, czy chcemy wyjeżdżać do Sowieców. Na rozkaz Stalina wywożono i niszczone nas milionami za to tylko właśnie, że kochamy swoją Ojczyznę. Chciał nas zniszczyć. A wiedział, że jeśli nie zni-

szczy nas mróz i głód, jeśli nie zniszczy nas straszna rzeczywistość katog NKWD, jeśli wreszcie nie zniszczą nas jego siepacze — niszczyć nas będzie tęsknota do Polski.



Marszałek polny Sir Harold Alexander składa wieniec na cmentarzu cassińskim, oddając w ten sposób hołd bohaterstwu żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie. Tenże sam marszałek Alexander oświadczył w swoim czasie, że gdyby miał wybierać żołnierzy, którymi chciałby dowodzić — wybrałby Polaków.

Dziś nagle wzywają nas do powrotu. Pytają, czy chcemy wracać do Polski. Czy na tle znojnego czynu naszej drogi do Polski pytanie to nie brzmi jak i r o n i a ?

Nie ma wśród nas takich wyrodków, którzyby do Polski wrócić nie chcieli. I to pytający wiedzą, że nadto dobrze.

Któż nam te pytania stawia? Dlaczego nie stawia ich nasz jedyny legalny rząd polski i nasi dowódcy, pod których rozkazami i na których apel wyrąbywaliśmy sobie drogę do Polski w o l n e j, a wyrąbaliśmy narazie wol-

ność innym? Temu rządowi i tym dowódcom kazano teraz milczeć.

Ponad głowami więc naszych legalnych władz pytają nas obcy. Zapewnienia i zachęty dają nam: minister spraw zagranicznych W. Brytanii i... reprezentanci agentów Stalina.

Strasliwa jest wymowa apelu Bevina. Jeśli ten trybun ludowy, którego całe życie przebiegło w walce o wolność, o wyzwolenie uciśnionych, który w walce swojej skazany był na troskliwe

miast wymowa gwarancji stalinowskich marionetek z Warszawy. Czemuż to oni tak gwałtownie pragną mieć nas u siebie, w swoich rękach? Czyż nie codziennie cała prasa warszawska i jej zagraniczne agencje wylewają kubły pomyj na uchodźstwo i wojsko polskie zagranicą? Pocóż więc im ci zozydzeni? Czyż nie zozydzą oni dalej codziennie naszego czynu zbrojnego, przed którym głowy chyliły najlepsze oddziały i najświetniejsi wodzowie zachodnich demokracji? Pocóż im to wojsko, którego zasługami tak się poniewiera?

Chcą oni naszego powrotu tylko dlatego, że posłuszne marionetki Stalina pragną likwidacji wolności Polski, likwidacji Państwa Polskiego i wreszcie likwidacji samego naszego narodu. My, Polacy za granicą jesteśmy dziś tym czynnikiem, który trzyma otwarte okno więzienia, w którym zamknięto Naród Polski aby zginął. Jesteśmy tym czynnikiem, który przez nieustępliwą walkę uchodźstwa i wojska polskiego o prawa Polski do wolności i niepodległości — nie daje zabić narodu. Wiedzą wrogowie nasi, wiedzą sługi Stalina, że dopóki nie zlikwidują walki uchodźstwa, dopóty nigdy nie będą w stanie zlikwidować naszego bytu narodowego. Miejsce nasze dziś jest tutaj zagro-

ko tu z zagranicy możemy coś dla Polski wywalczyć. Na czym polega dziś obowiązek Polaka — my sami najlepiej możemy zrozumieć. Tylko więc my sami możemy określić, gdzie w chwili obecnej winniśmy pełnić służbę dla Polski.

Postawienie nam pytania: czy chcesz wracać do Polski — czy nie? — w chwili, gdy w rzeczywistości powrót jest dla nas niemożliwy, bynajmniej nie ma na celu wypośredkowania naszego stosunku do powrotu do Polski w ogóle. Ten stosunek jest jasny i niezmienny: wszyscy chcemy wracać jak najprędzej i bez wyjątku. Pytanie to stawia się nam w chwili obecnej z intrygi sowieckiej w tym celu, by złamać naszą jednolitą wolę oporu.

Odpowiedź: „tak, chcę wracać“ — w dzisiejszej sytuacji znaczy, że wyrzekam się walki, że wyrze-

(Dokończenie na str. 3)

Całkiem zrozumiała jest nato-

KONIEC ZŁUDZEŃ

Mimo, że ogół emigracji polskiej trwał i trwa nadal wiernie przy ideologii niepodległościowej, były jednostki, które patrzyły z nadzieją na akcję, podjętą przez Mikołajczyka i współpracujących z nim polityków. Spodziewali się więc niekiedy, że ostateczny rezultat poczynań Mikołajczyka może przynieść Krajowi korzyść, może złagodzić i ograniczyć samowolę Bieruta czy Radkiewicza i wreszcie doprowadzić do wyborów, których wyniki przesądzą o polskim charakterze przyszłych rządów warszawskich i skończą z panowaniem obcych agentów.

Rozumowanie takie zakładało, że czyn Mikołajczyka, wzmocniający administrację warszawską, jakkolwiek politycznie błędny i osłabiający dotychczasowe bezkompromisowe stanowisko ogółu Polaków, może w końcu okazać się pożyteczny. Nie akceptując moralnej postawy Mikołajczyka, nie kwestionowano w tych rozumowaniach jego dobrej woli i możliwości zdobycia wpływu w Kraju, gdzie on — i jemu podobni — mogliby odegrać rolę ośrodka skupiającego wolę narodu, nie poddającą się obcemu, sowieckiemu dyktatowi.

Bezkompromisowe nasze stanowisko potępiło bezwzględnie akcję Mikołajczyka. Z jednej strony łamała ona dotychczas utrzymywaną linię polityczną ogółu Polaków na uchodźctwie, wyrażającą się w bezwzględnej nieustępliwości, jeśli chodzi o sprawy integralności i suwerenności Polski, z drugiej — nie wierzyliśmy w możliwość pozytywnego sukcesu politycznego tej akcji. Gdyby nawet jakąś korzyść osiągnięto, byłaby ona tylko chwilowa i pozorna, okupiona w dodatku niepowetowanymi stratami wynikającymi ze zbyt daleko idącego oportunistycznego.

Obecnie można już podsumować szereg faktów, które wszelkim złudzeniom powinny położyć kres.

Upłynęły miesiące od chwili przystąpienia Mikołajczyka do „rządu” warszawskiego; sytuacja wyjaśniła się dostatecznie, by móc zdać sobie sprawę zarówno z dotychczasowych osiągnięć jego akcji, jak i z dalszych jej możliwości. Cóż tedy uzyskał Mikołajczyk dla Kraju?

Trzeba stwierdzić, że ukazanie się jego na horyzoncie życia politycznego Kraju dopomogło do ujawnienia, jak liczni są ci, którzy współpracować z Bierutem nie chcą, jak wielu przeciwstawia się prądowi, który propaguje całkowitą kapitulację wobec Sowietów, jak wielkie siły gotowe są do bezkompromisowej walki o p o l s k o ś ć Polski. Sam fakt powstania ugrupowania posiadającego słabe choćby znamiona niezależności od obcej agentury, wywołał natychmiastowy oddźwięk w szerokiej masach polskich.

Nagła popularność Polskiego Stronnictwa Ludowego — poza

warstwą chłopską — w kolach miejskiej inteligencji, a nawet częściowo wśród warstwy robotniczej, nie dowodzi bynajmniej tego, że naraz typowo włościańskie ugrupowanie stało się ideowym wyrazicielem poglądów miast, a program przez PSL głoszony bezwzględnie przekonał znakomitą większość Kraju. Jasnym więc jest, że PSL stało się obecnie przysiółkową brzytwą, za którą chwytają się tonący. Gdy Polak w Kraju ma do wyboru albo wyraźną kolaborację z sowieckim okupantem w ramach PPR, SL, bądź niepewne pozostawanie w znaczącym obecnie ideowo krajowym odłamie PPS, bądź w ramach wręcz mętnych i bezprogramowych: Partii Pracy i Stronnictwie Demokratycznym, czy też wstąpienie do PSL, stronnictwa najbardziej niezależnego i polskiego w obecnych warunkach — wybiera niewątpliwie to ostatnie. Choć może nie podzielać programu partii Mikołajczyka, chociaż nie pochwała jej taktyki, chociaż się zżyma na oportunistyczny przywódca — woli, jeśli już gdzieś przynależać musi, poprzeć PSL, bo ono daje mu niejaki gwarancje polskości kierunku i dążenia do niezależności od obcych agentów.

I to jest jedyne pozytywne osiągnięcie Mikołajczyka, zbyt znikome jednak, by wytłumaczyło jego akces do Bieruta.

Mikołajczyk i poplecznicy jego liczyli na wybory, na ogromny w nich dla siebie sukces, gdyż nie mają oni w Kraju poważnych polskich konkurentów; liczyli więc na zdobycie władzy i opanowanie rządu. Ale rzeczywistość położyła kres tym wyrachowaniom. Propozycja bierutowców była jasna w swych celach: przystąpcie do bloku, zgódźcie się na „sowieckie” wybory, coś tam za to dostaniecie. Władza jednak zostanie przy nas, a wówczas będzie już posiadała aprobatę narodu, wyrażoną w wolnym na pozór głosowaniu.

Na przyjęcie jednak tej propozycji nie pozwoliła Mikołajczykowi nawet kapitulanka jego logika. Odmówił swej zgody na tę propozycję.

Nie wiadomo tylko, czy odmawiając uświadomił sobie, że z tą chwilą stał się bierutowcom niepotrzebny, że rolę swą skończył, że jest od tej chwili tylko przeszkodą i ciężarem.

Jeśli Mikołajczyk tego sobie nie uprzytomnił, jeśli nie chce słyszeć głośnego: „Do obozu kon-

centracyjnego z nim!”, jeśli nie rozumie, że chwile jego są policzone, to my z tej sytuacji dobrze zdajemy sobie już sprawę.

Nastąpił kres złudzeniom, nie tylko dla Mikołajczyka, ale i tych wszystkich, którzy mieli nadzieję, że coś w Polsce może się zmienić, mimo, że w niej rządzi okupant.

Raz jeszcze potwierdza się nasze stanowisko konieczności bezkompromisowej walki o niepodległość, integralność i polskości Polski.

Dowiemy się, zapewne niezadługo, że Mikołajczyk stanął przed „Najwyższym Trybunałem Ludowym”, oskarżony z kilku przynajmniej punktów ogłoszonego ostatnio dekretu administracji warszawskiej o odpowiedzialności za klęskę wojny. Może postawi się go w stan oskarżenia za zdradę stanu, za premierowanie w Londynie, za złożoną przysięgę na wierność Rzeczypospolitej, reprezentowanej przez legalny jej rząd.

Każdego, kto zna niezmiennie metody sowieckie, fakt ten bynajmniej nie zaskoczy.

Myśmy złudzeń nie mieli! Ci zaś, którzy je żywili, niech je odrzuca i niech się na przyszłość nie luda. S.

Czarny rejestr Mikołajczyka

Pod tytułem „Czarny rejestr polskiego Quislinga” zamieszcza „Wiadomości Kresowej” obszerny artykuł poświęcony omówieniu „działalności” Mikołajczyka. Z artykułu tego cytujemy ważniejsze ustępy, uważając, że sformułowania bratniego czasopisma są niezwykle trafne i na czasie.

„Mikołajczyk — piszą „Wiadomości Kresowej” — którego przed rokiem udało się usunąć od władzy, zanim zdolał zrobić coś, co byłoby zapisaniem najczarniejszej karty w historii Polski — wysuwany jest dziś w obojętnej lub wrogiej Polsce opinii światowej na stanowisko jedynej obrońcy „prawdziwej niepodległości Polski”. Kraj dawno otrząsnął się z tego złudzenia — świat ma w nie dziś zacząć wierzyć. W robocie Kotów i Strassburgerów legenda ta ma spełnić tylko jedno zadanie: zniszczyć ośrodki niepodległościowe na emigracji. Jaki to będzie miało wpływ na Kraj nie trudno przewidzieć: Kraj przestanie wierzyć, popadnie w apatię i zostanie wreszcie doprowadzony do tego stanu, w jakim chce go widzieć Moskwa. Gdy uda się „rozładować” emigrację, znikną resztki pozornej „niezależności” opinii w Polsce. Krakowski „Tygodnik Powszechny”, poznańskie „Życie Literackie” i inne czasopisma, jakie wcisnęły się w tę lukę w systemie pana — borejszowej „zglajchszaltowanej” prasy, których nie da się dziś jeszcze zamknąć tylko dla-

tego, że my tu jesteśmy i działamy — przestaną się ukazywać, ich redaktorzy — już teraz atakowani przez gadzinówki „Czytelnika” za „niezrozumiałą linię ideowo-społeczną” — podzielą los wszystkich „wrogów wolności ludu” i na pogorzeliisku, jakim jest dziś Polska, nastanie cisza cmentarna, ów żywioł naturalny sowieckich nihilistów. Robocie tej musimy przeciwdziałać ze wszystkich sił”.

Po tym wstępie „Wiadomości Kresowej” przypominają „czarny rejestr grzechów i zaniechań człowieka, który czynnie przyłożył rękę do piątego rozbioru Polski i nadal służy wrogom Jej niepodległości”. Rejestr ten posiada aż 16 punktów, z których kilka najważniejszych cytujemy. Tak więc Mikołajczyk m. in.:

winię jest „psiej uległości wobec Churchilla i Edena, którzy żądali od niego, by stworzył pozory, że Polska dobrowolnie poddaje się Rosji i dobrowolnie zwalnia Anglię z jej zobowiązań sojuszniczych”;

winię jest nieposłuszeństwa Krajowej Radzie Jedności Narodowej, która odwoływała go z Kairu do Londynu, gdy znajdował się w drodze do Moskwy;

winię jest wysunięcia Bieruta i Osóbki na partnerów w życiu politycznym Polski i stworzenia obcej agenturze „alibi” jako pełnoprawnym przedstawicielom Kraju;

winię jest opuszczenia Powstania Warszawskiego, które zaniebadał przedstawić światu jako symbol zdrady sojuszników i jako protest Polaków przeciw tyranii i egoizmowi wielkich mocarstw;

winię jest intrygi przeciwko legalnemu rządowi niepodległościowemu premiera Arciszewskiego, dyskredytując go w oczach świata demokratycznego jako „faszystowski”;

winię jest zdrady stanu, którą popełnił, gdy za plecami legalnych władz polskich dał się użyć obcym za agenta do ostatecznej likwidacji sprawy polskiej;

winię jest konferowania z bolszewikami w Moskwie, mimo stworzonych mu upadających warunków, gdy równocześnie odbywał się proces 16-tu przywódców Polski Podziemnej, przez co splamił honor Polaków i splugawił go przed całym światem.

„Ten rejestr nie jest wyczerpujący — kończą „Wiadomości Kresowej”. Historia skompletuje go w swoim czasie i Mikołajczyk wraz ze swymi współnikami — stanie pewnego dnia przed Trybunałem Niepodległej Polski, by ponieść słuszną karę za winy, których źródła tkwią w fałszywej ambicji, matości charakteru, braku skrupułów i służalczości.”

TURCJA a IDEE FEDERACYJNE

Stanowisko tureckiej myśli politycznej wobec koncepcji federacyjnych w ogólności ulegało dużym, nieraz zasadniczym przemianom — na przestrzeni czasu od powstania państwa Ataturka aż po dzień dzisiejszy. Przemiany te przeszły taką ewolucję, że dziś śmiało rzec można, iż Turcja odnosi się zupełnie pozytywnie do idei federacji mniejszych państw, pod warunkiem jednak, że powstanie ona we własnym interesie tych państw a nie jako instrument cudzego nacisku czy woli.

Zanim Turcja przyjęła tego rodzaju postawę — upłynął okres dwudziestopięcioletni, podczas którego państwo tureckie, pilnie obserwując wydarzenia w dziedzinie politycznej, gromadziło odpowiedni zapas doświadczeń własnych i cudzych oraz dojrzewało do pojmowania wyższych form współżycia między państwami na zasadzie: równi z równymi.

Niechętnie ustosunkowanie się Turcji do pomysłów federacyjnych u zarania powstania państwa młodo-tureckiego wpływało w pierwszym rzędzie z jej obawy, aby w wypadku połączenia się w blok państw, nie straciła ona dominującej roli strażniczki Cieśnin i nie spadła do rządu mało znaczącego czynnika politycznego na Środkowym Wschodzie. Politycy tureccy bowiem zdawali sobie sprawę, iż w każdej koncepcji ściślejszej federacji, poszczególni jej członkowie wyrzec się muszą części swych praw suwerennych dla dobra ogólnego. Dla państw bardziej zwartych i nowoczesnych od Turcji, to wyrzeczenie się nie przedstawiało większego niebezpieczeństwa. Tymczasem młody organizm państwa tureckiego, dopiero co z takim trudem wyzwolony spod obcych wpływów, nie chciał im się — w przesadnej być może obawie — znów dobrowolnie poddawać, rezerwując sobie dłuższy czas na konsolidację wewnętrzną.

Należy wziąć pod uwagę także wysoką dumę i ambicję narodu tureckiego, który w każdym przedsięwzięciu międzynarodowym, o tyle chciał brać udział o ile dogadzało to jego aspiracjom posiadania pierwszego miejsca wśród mniejszych państw.

Z tego względu właśnie turecki minister spraw zagranicznych z okresu Ataturka, Tewfik Rusztu Aras, dał się łatwo przekonać przez swych kolegów: rumuńskiego ministra Titulescu oraz Benesa, iż polska myśl federacji bałtycko-czarnomorskiej zmierza jedynie do realizacji egoistycznych wielkomocarstwowych celów Rzeczypospolitej, kosztem słabszych jej partnerów. To niefortunne „trójporozumienie“ ministrów spraw zagranicznych, którego polityka tak fatalnie zaciążyła na rozwoju sytuacji międzynarodowej, uniemożliwiło Polsce stworzenie olbrzymiego bloku państw, zdolnego oprzeć się zarówno naciskowi Niemiec, jak i Rosji. Samo zaś uległo następnie i bez reszty wpły-

wom ówczesnej Francji i W. Brytanii. Mocarstwa te, obawiając się jakgdyby wzrostu znaczenia Polski, uprawiały znaną politykę ustępstw wobec Niemiec.

Turcja również nie doceniała jeszcze wówczas kluczowego stanowiska Polski i jej znaczenia dla stabilizacji równowagi sił w Europie. Trzeba nadto zdać sobie sprawę z faktu, iż wszyscy trzej wymienieni politycy byli wyraźnie sowietofilami. Titulescu nie żyje. Z dwu pozostałych — Benes nadal podtrzymuje swoje ówczesne stanowisko sowietofili, a Rusztu Aras, choć odsunięty został od wpływu na politykę swego kraju — typowany jest obecnie przez Rosję na tureckiego „Mikolajczyka“. Jego artykuły, ukazujące się co pewien czas w prasie prosowieckiej w Turcji, wyraźnie dowodzą, iż raczej gotówby spełnić pokładane w nim nadzieje Sowietów.

Trzeba było dopiero doświadczeń okresu tej wojny, aby Turcja zrozumiała znaczenie Polski, jako podstawowego czynnika wszelkiej federacji bałtycko-czarnomorskich. Pakt „Ententy Bałkańskiej“, podpisany 9 lutego 1934 roku w Atenach przez Rumunię, Jugosławię, Grecję i Turcję, jako „porozumienie skierowane przeciwko wszelkim zamachom faszystowskim na wolność narodów bałkańskich“, jak to pisała podówczas prasa „Małej Ententy“ — stracił całkowicie swoje znaczenie z chwilą utraty niepodległości przez Polskę w 1939 r.

Tureccy politycy widzieli następnie, jak imperializm hitlerowski zbliża się coraz bardziej do bram Bosforu, zagarniając kolejno terytoria poszczególnych sygnatariuszy „porozumienia bałkańskiego“.

Rzecz godna uwagi, iż Turcja cokolwiek późno, bo po upadku naszego państwa, zrozumiała jednak może najlepiej polską myśl federacyjną. Prasa turecka gorąco podchwyciła projekt naszego rządu w Londynie z kwietnia 1944 roku, proponujący utworzenie porozumienia państw mniejszych dla obrony ich interesów. Publicysta tureckiej wysokiej klasy, Hüseyin Dziahyt Jalczyn poświęcił wówczas entuzjastyczny artykuł inicjatywie polskiej, podkreślając, iż turecka prasa pierwsza wysunęła podobny projekt. Niestety, inicjatywy te nie doczekały się nawet wstępnego stadium realizacji, sparaliżowane w zarodku przez intrygi sowieckie.

Kiedy okazało się następnie, iż cała środkowa Europa i większa część Bałkanów weszły w orbitę interesów sowieckich, turecka prasa pośpiesznie zamilkła, przerażona perspektywą udziału w jakimkolwiek bloku państw, który z natury zarysowującej się rzeczywistości musiałby znaleźć się pod przemożnymi wpływami sowieckimi. Jednocześnie aby nie dawać potężnemu sąsiadowi żadnych a-

tutów do ręki przeciw sobie — Turcja przestała popierać koncepcję federacji w jej polskim ujęciu.

Myśl jednak o federacji nurtowała w dalszym ciągu w społeczeństwie tureckim, i kiedy nieco później grono intelektualistów szwajcarskich opracowało projekt federacji europejskiej, prasa turecka natychmiast żywo się nim zajęła, opatrując ten projekt własnymi głęboko przemyślanymi uwagami. Ten sam Jalczyn pisał podówczas (czerwiec 1944):

„Intelektualiści szwajcarscy zdają sobie sprawę, jakie czynniki są niezbędne do utworzenia federacji. Najważniejszym z nich jest, aby państwa, chcące przystąpić do takiego porozumienia, uznały swoje granice jako obowiązujące i ostateczne. Czy przeprowadzenie tego rodzaju układu między państwami jest osiągalne w Europie? Trudno jest odpowiedzieć od razu na tego rodzaju pytanie. Jesteśmy jednym z krajów bałkańskich. Ta właśnie część Europy doznawała dość często wstrząsów politycznych i sytuacja jej dotychczas jeszcze nie jest ustabilizowana. My sami przechodziliśmy owe kryzysy i niepokoje, lecz w czasach uspokojenia mieliśmy sposobność rozmyślenia nad minionymi wydarzeniami. Dlatego może wiemy lepiej od innych, jak silne „stany zapalne“ wywołują wszystkie kwestie graniczne. Obecnie mamy sposobność obserwowania takich samych zjawisk w odniesieniu do Węgier, Jugosławii, Grecji, Albanii, Czechosłowacji i Polski. Nie przypuszczamy również aby Włochy uważały swoje granice jako trwałe. To samo dotyczy granic francusko-pruskich z lat 1870 i 1918“.

„Czy jednakże doświadczenia, które przynosi obecna wojna nie zostaną wzięte pod uwagę przez państwa zainteresowane? — pyta Jalczyn dalej.

Stają przed naszymi oczami dwa kraje, które porzuciły dawne walki i nienawiści, obecnie zaś idą ramię w ramię, jako przyjaciele: Turcja i Grecja. Czyż przykład ich miałby pójść na próżno? Czyż narody europejskie nie są zdolne do zrozumienia jak wielkie korzyści może im zapewnić zjednoczenie i czy dla wyższego celu nie mogą poświęcić choć części swych miłości własnych i złudzeń? Jeżeli nie potrafią się one wznieść do tego poziomu, to tym samym wystawią sobie smutne świadectwo, iż są niegodne organizacji ludzkiej wyższego rzędu. Drugim nieodzownym warunkiem istnienia trwałej federacji jest podporządkowywanie się arbitrażowi w razie powstania sporu. Przy tym strony, które się godzą na arbitraż — muszą mieć doń pełne zaufanie. Jeżeli kwestie dotyczą suwerenności jednej ze stron — to winny być rozpatrywane przez Trybunał Międzynarodowy. Równocześnie ze sprawą granic winny zostać uregulowane również i kwestie mniejszościowe. Należy zaznaczyć, iż system federacyjny ułatwia w wysokim

stopniu unormowanie tych zagadnień“.

Ta zbyt może idealistycznie ujęta koncepcja federacyjna rozbiła się o przyjętą teraz zasadę sfer wpływów wielkich mocarstw w Europie. Niezrażona tym Turcja wystąpiła obecnie z własnym konkretnym planem federacji krajów bałkańskich i Środkowego Wschodu.

„Należałoby stworzyć na tych obszarach regionalny system bezpieczeństwa, łączący naprawdę niezawisłe państwa, któreby miały swobodę tworzenia federacji, gdyby uznały to za właściwe“ — pisze redaktor dziennika stambulskiego „Vatum“, Ahmet Emin Jalman na łamach „Sunday Times“ z dnia 3 lutego b.r. Emin Jalman pisze jednak dalej, iż Rosja Sowiecka, stając się coraz bardziej mocarstwem imperialistycznym, nie będzie sprzyjała polityce regionalnego bezpieczeństwa, opartej na całkowitej niezawisłości państw, które Rosja ogarnąć chce swoją sferą wpływów. W konkluzji autor artykułu wysuwa myśl, aby W. Brytania podjęła inicjatywę federacji państw bałkańskich i Śr. Wschodu, co z jednej strony wzmocniłoby jej wpływy na Śr. Wschodzie, z drugiej strony zaś wytrąciłoby Sowietom z ręki fałszywe atuty rzekomej opieki nad mniejszymi państwami.

Turcja, jako gorąca orędowniczka jednoczenia się i organizowania porozumienia mniejszych państw dla obrony przed silniejszymi, stanowi w chwili obecnej pożyteczny czynnik w polityce międzynarodowej. A gdy nadejdą czasy, kiedy federacja państw bałtycko-czarnomorskiego znów będzie problemem aktualnym, wówczas Turcja stanie się niewątpliwie istotnym i ważnym składnikiem tego porozumienia.

J. L.

PYTANIA

(Dokończenie ze str. 1)

kam się tego wszystkiego, o co przez sześć lat walczyłem i za co tyłu najbliższych moich zginęło; oznacza, że kapituluję i poddaję się rozkazom stalinowskiego agenta, Bieruta, że godzę się z losem niewolnika, narzuconym mi wola Stalina. Odpowiedź „tak“ znaczy, że wyrzekam się walki o wolny, niezależny byt swego narodu. Wobec, odpowiedź „tak“ znaczy, że wyrzekam się bytu narodowego w ogóle.

Idziemy prostą drogą do Polski. Idziemy nią już od sześciu lat mając przed sobą zawsze jasną wizję **P o l s k i w o l n e j**.

O tę wolną Polskę chcemy walczyć i będziemy walczyć do końca. Gdyby nawet zginąć przyszło tutaj na obczyźnie, ofiarą swoją przyniesiemy korzyść Polsce. Podczas gdy iść dziś do Polski — to iść na zagładę, bez pożytku dla siebie i dla narodu.

W POLSCE i O POLSCE

W sprawie wyborów w Polsce doszło w ostatnim tygodniu do kompletnego zerwania pomiędzy rządowym blokiem wyborczym a Polskim Stronnictwem Ludowym, na którego czele stoi p. Mikołajczyk. Ten ostatni dał wprawdzie wyraz przekonaniu, że istnieje podstawa do prowadzenia dalszych rozmów, jednak „przywódcy robotniczy” — jak ogłosiła agencja prasowa w Warszawie — nie widzą już tej podstawy i nie zamierzają wznawiać pertraktacji ze stronnictwem Mikołajczyka w sprawie utworzenia wspólnego z nim jednolitego bloku wyborczego. PPR i PPS oświadczyły, że „całkowita odpowiedzialność za zerwanie rokowań w sprawie utworzenia jednego demokratycznego bloku wyborczego spada wyłącznie na komitet wykonawczy Polskiego Stronnictwa Ludowego.”

Jak wiadomo, blok rządowy wysunął zasadę równości czterech „głównych stronnictw politycznych”, zaś PSL zażądała dla siebie 75 % ogólnej ilości mandatów. Radio warszawskie ogłasza wszem i wobec, że demokracja polega na równości partii politycznych i że żadna z partii nie może majoryzować innej, bo majoryzacja to antydemokracja. Tako rzecze Bierut, uczeń tej szkoły myślenia, która napisała w artykule 126 „najdemokratyczniejszej konstytucji świata”, że w Sowietach może istnieć tylko jedna partia: komunistyczna i że tylko ona stanowi komórkę kierowniczą wszystkich organizacji społecznych i wszystkich instytucji państwowych. W Rosji Sowieckiej, gdzie dziewięćosobowe biuro polityczne partii komunistycznej rządzi po dyktatorsku 170 milionami ludzi, w Rosji Sowieckiej, gdzie partia komunistyczna organizuje dywersyjne przetrzuty we wszystkich państwach świata i dąży do stworzenia totalistyczno-międzynarodowej organizacji, pozostającej w dyspozycji Kremla — w Rosji nie ma „majoryzacji” jednych partii przez drugie. Ale w Polsce, gdzie 99 % ludzi — ze względu na swój szczerzy wstręt do systemu Bieruta — gotowe jest pójść nawet z Mikołajczykiem — 75 % mandatów oznacza antydemokratyczną zasadę majoryzacji. Nie ulega żadnej kwestii, że wysunięta przez Bieruta zasada „równości partii” jest podstępny taktycznym chwytym, którego zadaniem jest maskować wybitne uprzywilejowanie elementów komunistycznych.

Szwedzka gazeta „Morgen Tidningen” sądzi, że w nadchodzących wyborach w Polsce szanse komunistów wynoszą 5-6 %, przy czym widoczny jest stały upadek wpływów komunistycznych na masę społeczeństwa polskiego. „Manchester Guardian” pisze, że pomysł bloku wyborczego trudno nazwać demokratycznym w brytyjskim pojęciu tego słowa, że system głosowania na wspólną

DOKOŁA „WYBORÓW”

listę nie może być nigdy uważany za wybory wolne i nieskrępowane, że wreszcie przy wolnych wyborach PSL otrzymałoby ogromną większość. Londyńska „Yorkshire Post” jest również zdania, że wspólna i jedyna lista wyborcza jest zaprzeczeniem demokracji. Coraz częściej na łamach prasy anglosaskiej pojawia się twierdzenie, że taka demokracja, jak w systemie Bieruta — to żadna demokracja.

Mimo tego oczywiście Bierut robi swoje: jego presji na społeczeństwo w kierunku zmontowania zwycięstwa bloku rządowego za wszelką cenę — towarzyszy zastrzeżenie cenzury w Polsce. Jest ono zresztą przejawem aktualnej ogólnosowieckiej tendencji w zakresie stosunku do prasy, które to zjawisko wyraźnie ostatnio zarysowało się w Moskwie w formie drakońskich przepisów dla korespondentów zagranicznych.

Uczestnicy komisji parlamentarzystów brytyjskich, którzy byli ostatnio w Polsce, podkreślili w swym sprawozdaniu, że w kraju istnieje we wszystkich warstwach społecznych powszechna i wyraź-

na niechęć w stosunku do Rosjan. Uczestnik komisji mjr. Beamish po powrocie z Polski napisał na łamach „Daily Telegraph”: „Komuniści dawali mi do zrozumienia, że jeżeli zostanie naruszona jedność narodowa na skutek wysuwania przez każde stronnictwo swych kandydatów, to mogą być zamieszki. To brzmi jak groźba”. Nic więc dziwnego, że poseł Beamish dwukrotnie interpelował wiceministra spraw zagranicznych MacNeila w sprawie sytuacji politycznej w Polsce, sugerując wysłanie międzynarodowej komisji, która by nadzorowała wybory w Polsce. Poseł Beamish mówił w Izbie Gmin o „znakach politycznej nietolerancji w Polsce”, prosił o „możliwie najenergiczniejsze zaprotowanie przeciwko ustawicznemu gwałceniu warunków, pod jakimi rząd tymczasowy został uznany”, a nawet doradzał rządowi brytyjskiemu cofnięcie tego uznania. Nie należy się ludzić, że wypadki pójda szybko po linii tych wypowiedzeń, ale należy doceniać symptomatyczny ich charakter i znaczenie pod kątem przyszłości.

Rząd brytyjski ustami pp. Bevi-

na i McNeil'a wciąż wyraża „nadzieję”, że p. Bierut uzna za właściwe przeprowadzić swobodne wybory, gdyż przecież zostało to wyraźnie uchwalone przez pp. demokratów w Jalcie i Poczdamie. Można odpowiedzieć wszystkim naiwnym, oczekującym takich wyborów, słowami angielskiego tygodnika „Truth”: „Gdyby rząd warszawski dotrzymał swych zapewnień, to zdradziłby jedną z najsilniejszych zasad sowieckich, a mianowicie, że wszelka możliwa komórka działalności antyrewolucyjnej musi być zlikwidowana”. Nie ulega zaś wątpliwości, że niemal wszyscy Polacy odrzucają komunizm i że na swobodną działalność polityczną polską reżim komunizujący pozwolić nie może. „Truth” dodaje, że przede wszystkim żołnierze polscy, powracający z emigracji byłiby uważani za czynnik kontrrewolucyjny, zwłaszcza, że „ciąży na nich plama niewybaczalna — współzycie z Brytyjczykami”.

Tak wygląda bierutowa „demokracja”. Na jej tle rysuje się wyraziście stanowisko prokuratury w toczących się obecnie w Polsce procesach przeciwko niepodległościowcom polskim: — w procesach tych żąda się z reguły kary śmierci dla oskarżonych.

Nauka „historii” w ZSRR

„Umacnianie się Zakonu Krzyżackiego było z punktu widzenia politycznego bardzo niebezpieczne dla Litwy. Witold zaczął szykować się do wojny. Cała Ruś litewska stanęła pod jego sztandary. Przyłączył się do niego i Jagiello. 15 lipca 1410 r. litewsko-ruskie i polskie pospolite ruszenie spotkały się z wojskami niemieckimi na terytorium Zakonu Krzyżackiego, między Grunwaldem i Tannenbergiem. W niewygodnej lesisto-błotnistej miejscowości zawiązał się okrutny bój. Litwini, gnieceni przez

nieprzyjaciela, zaczęli cofać się i polsko-litewska armia rzuciła się do ucieczki. Na miejscu zostały tylko trzy pułki smoleńskie. Jeden z nich był zniszczony doszczętnie. Dwa inne wytrzymały wściekły atak krzyżaków i połączyły się z głównym trzonem wojska. Tylko dzięki nieugiętości smoleńszczan Witold nie został rozbity. Walka wznowiła się z nową siłą i pod wieczór sprzymierzonym udało się całkowicie rozbić Zakon...”

Tak na piętnastu wierszach lakonicznego opisu, można umieścić nieobjętą wprost ilość cynicznego kłamstwa.

Wygląda to tak, że do biednego Witolda przyłączyła się cała Ruś litewska i na ostatku — niemal rad nie rad — przyłączył się... i Jagiello. Potym jednak choć „polsko-litewska armia rzuciła się do ucieczki”, Smoleńszczanie znaleźli jakiś „główny trzon armii, do którego się przyłączyli”. Z czego się trzon składał, czy przed tym uciekł czy nie uciekł razem z polsko-litewską armią — nie wiadomo. Ale „wiadomo”, że siły, które ostatecznie rozbiły Zakon, nie były siłami jednego państwa, ale jakimś siłami sprzymierzonymi. Zatem Polacy, Litwini, Rusini i Smoleńszczanie nie byli obywatelami

jednego państwa polsko-litewskiego, tylko... sprzymierzeńcami.

Czytelnik zapyta skąd ten „historyczny” opis bitwy pod Grunwaldem? Oto żywcem wyjęty jest on z pierwszego tomu historii ZSRR — strona 261 (Państwowe Wydawnictwo Socjalno - Ekonomiczne, Moskwa 1939 r.).

Zwrócić trzeba szczególną uwagę na fakt, że ta „Historia ZSRR” „dopuszczona jest decyzją Wszechzwiązkowego Komitetu dla spraw szkolnictwa wyższego przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR — w charakterze podręcznika dla fakultetów historii na uniwersytetach państwowych i w instytucjach pedagogicznych” — jak informuje wyjaśnienie, umieszczone na tytułowej stronie.

A więc kłamstwo staje się z de-

cyzji państwa zasadą, regułą według której wychowuje się całe pokolenie na „szóstej części globu”. Falszerstwo staje się tam fundamentem wiedzy.

Ostatnio, aby się podciągnąć pod „Zachód” — uniwersytety sowieckie nadają tytuły doktorskie. Można sobie wyobrazić źródłową wiedzę takiego doktora „historii na sowiecko”. Można sobie wyobrazić spustoszenie w dziedzinie wiedzy, jakie poczynią tak postawione podręczniki, to wypaczenie światopoglądu, jakie zapanuje wśród dzieci w wieku szkolnym, wśród studentów, docentów i doktorów sowieckich, wychowanych na takich falszerstwach. Będą oni głosić „historyczne prawdy sowieckie” z pełną wiarą w to, co mówią. Wychowani w atmosferze kłamstwa i falszerstwa, innego światopoglądu mieć nie będą.

Do znamienitej „Historii ZSRR” jeszcze nie raz powrócimy. Jest ona kopalnią takich przykładów, jak opis bitwy pod Grunwaldem. Kopalnią cynicznego kłamstwa i nie cofającego się przed niczym falszerstwa. Taką samą kopalnią, zakłamania, jaką jest cała rzeczywistość sowiecka, polityka Sowietów i ich propaganda. Niebezpieczeństwo dla świata ze strony tego państwa, jego polityki i jego pieczeństwa dla świata ze strony że kłamstwo i falszerstwo są ich naczelną zasadą i jedyną podstawą.

POSTĘP i RELIGIA

Za czasów naszych ojców i dziadów uchodziło za zasadę, nie podlegającą wątpliwości, że świat i wszystkie jego sprawy dążą do coraz większej doskonałości — dogmat powszechnego postępu. Spierano się co najwyżej o to, czy ten postęp odbywa się w linii prostej, idąc nieustannie w górę, czy też czasami opada, postępując niejako w linii spiralnej. Sama zasada jednak pozostawała niewzruszona. Pamiętam jak w szkole, profesor z lekkim politowaniem mówił o tym, że w starożytności miano za cofane pojęcie, iż na początku był wiek złoty, za nim szedł gorszy srebrny, i tak dalej aż do żelaznego współczesnego, całkiem odwrótnie do dzisiejszych poglądów.

W Polsce pozytywizm wyznawał ten dogmat postępu. Scharakteryzował go Renan w swoim „Avenir de la Science”: „Przyszłość świata to jest postęp wiedzy. Zastąpi ona religię, która się staje i stanie niepotrzebna. Nauka podniesie technikę do tego stopnia, że to rozwiąże zagadnienie dobrobytu powszechnego. Ludzie opływający we wszystko, nie będą drugim zardzości, nie pragnąc coby trzeba osiągać z krzywdą bliźniego. Ustanie wojna, bo znikną do niej powody, ustaną przestępstwa, bo zniknie ich przyczyna, głód i nędza. Ludzkością rządzić będą dobrotliwi mędrcy. Rozkwitnie sztuka i piękno itd. itd. Czyż to nie Konopnicka kończy wiersz o chłopaku przyłapanym na kradzieży słowami: Pójdź, chłopcze, ja cię uczyć każę!

Tymczasem rozwój wydarzeń, życie samo zachwiała, podważyło i w wątpliwość podało ten dogmat postępu. Obie wielkie wojny XX wieku, zwłaszcza w porównaniu z wojnami dawniejszych wieków, wywołują wrażenie jakoby się ludzkość zamiast postępować, cofnęła wstecz, gdzieś na odmet barbarzyńskich epok. Nauka się rozwinęła i rozwija, ale np. medycyna nie wiadomo czy bardziej na ulgę cierpienia, czy na jego wymyślniejsze zadawanie (niemieckie obozy koncentracyjne). Technika się ogromnie rozwinęła i w bombie atomowej doprowadziła sztukę zniszczenia do najwyższego stopnia. Ustroje państwowe doszły do hitlerizmu i bolszewizmu, to jest do despotii i niewoli w rozmiarach nigdy jeszcze na świecie nie widzianych a rozsiewających wszędzie martwość.

Jeśli po zeszłej wojnie Spengler napisał swoją znaną książkę o „ruinie świata zachodniego”, to mógł to być przede wszystkim skutek moralny klęski niemieckiej. Podczas i po obecnej wojnie, wiara w postęp ludzkości zachwiała się powszechnie i ze znakomitych pisarzy bodaj tylko jedyny Wells ją wyznawa. Dzisiaj przekonalismy się powszechnie, że ani nauka ani tym bardziej technika nie zdołają zapewnić szczęścia ludzkości, a B. Russel napisał prosto, że „nauka bez podstaw

moralnych czyni człowieka tylko jeszcze okrutniej bestialskim”.

Z drugiej strony religia jaką grzebali Comte i Renan, Croce i Wells, u nas Świętochowski, nie tylko nie umarła, ale jest żywniejsza niż kiedykolwiek, znajduje się w fazie odrodzenia i jak u nas St. Brzozowski przeszedł rozwój od ateizmu przez panteizm do katolicyzmu, tak w dzisiejszej Francji doszli doń Bergson i Claudel i Maritain, żeby wymienić kilka czolowych nazwisk.

W takiej epoce powszechnego przeobrażenia wartości, myśli ludzkiej przypada obowiązek spojrzeć wstecz i dokoła siebie, rozważyć drogi jakimi szła i jakimi ma pójść dalej. Należy przystąpić do oceny krytycznej poglądów i skonfrontować je z rozwojem życia, stanowiącym ich najpoważniejszy sprawdzian.

Z punktu widzenia katolickiego dokonywa takiej pracy znakomity pisarz i uczony angielski Krzysztof Dawson w szeregu swoich dzieł, a zwłaszcza i systematycznie w ostatnio w r. 1945 wydanej książce p.t.: „Progress and Religion“ („Postęp i Religia”) z dodatkiem „An Historical Enquiry”, (analiza historyczna), określającym sposób badania. Dawsona wypadnie nazwać historykiem cywilizacji czy socjologiem — u nas jest takim wielkiej miary uczony Kazimierz Dobrowolski, jeśli żyje jeszcze.

Nie podobna oczywiście streszczać całej książki; gdybyśmy żyli w normalnych stosunkach, należałoby ją przetłumaczyć. Autor bada ideę postępu z punktu widzenia socjologii, historii i antropologii, dalej rozważa wzajemny stosunek religii i cywilizacji, w szczególności omawia wpływ chrześcijaństwa na powstanie naszej cywilizacji zachodniej, jej zeświecczenie na rzecz „religii postępu”, rozwój nauki i industria-

lizmu i schyłek religii postępu. Ostatni rozdział poświęca charakterystyce czasu dzisiejszego.

Nie mało książek „światopoglądu katolickiego” ma to do siebie, że operuje materiałem przestarzałym albo naukowo wątpliwym. Tego ostrzegł się szczęśliwie autor tej książki, zresztą nie inaczej w innych swoich publikacjach. Wyssoko podnoszą wartość dzieła opinie także niekatolickich pisarzy, „Spectator” mówi: „Głęboka, podniecająca a często porowokująca książka, zasługująca na studiowanie wszystkich, co pragną zagadnienia społecznego świata oglądać w ich szerokich związkach”, a znany anglikański dziekan Inge pisze: „Jestem pewien że to jest wielkie dzieło, jedno z najlepszych jakiegokolwiek czytali w ostatnich latach.”

Z wywodów Dawsona chciałbym zwrócić uwagę na znacznie religii w najpierwotniejszych kulturach. Ludzie t.zw. dzicy nie są bynajmniej pół-bydłętami, myślącymi jedynie o koniecznych potrzebach życia materialnego. Tak mniemano pod koniec w. XIX. Odtąd pogłębione badania dowiodły, że czy to u plemion przedhistorycznych w paleolicie, czy u dzisiejszych prymitywnych szczepów np. w Australii, istniało i istnieje zawsze swego rodzaju życie duchowe.

Inną rzeczą, zbyt mało u nas znaną, są zapatrywania starożytnych Greków. Widzimy je przez pryzmat mitologii z jednej strony, z drugiej przez szkła kolorowe filozofii chrześcijańskiej. W istocie hellenizmowi takiego Aristotelesa obca była idea postępu. Istnieje tylko prawo wiecznego powrotu, zachodzą cykliczne zmiany. Po tyłu i tyłu tysiącach lat wraca dzień dzisiejszy i dzisiejsi ludzie, my sami. Szczęście człowieka polega na poznaniu tego procesu i jego doskonałości. Te same poglądy powracają np. u Nietzschego.

I odmieni się tylko powietrze i scena,

A mniej piękna nie wstanie z grobowca Helena, powiedział Słowacki.

Postęp moralny człowieka to właściwie dopiero dar Chrystusa. Z tego punktu wyjścia dochodzimy do postępu świata, bo oczywiście jest nim, na razie w charakterze religijnym, przyszłe nawrócenie świata. Z postępu religijnego dochodzimy do postępu powszechnego na każdym polu. Przebieg cywilizacji od gminoruchów przynajmniej po dzień dzisiejszy rozwija nie tylko stronę religijną człowieka, ale wszelkie jego dzieła, stąd postęp w dziedzinie nauki, sztuki, techniki, słowem wszystkiego. Od w. XIV słabnąć zaczął czynnik religijny z przyczyn nad którymi zbyt obszernie byłoby się rozwodzić, i jeśli w w. XVIII miał jeszcze moc nad jednostką ludzką, przestał stanowić rozpęd cywilizacji.

Powstaje, sformułowana najpierw u myśliciela francuskiego 18 w. St. Pierre, idea postępu w dzisiejszym znaczeniu, t.j. w znaczeniu postępu świeckiego, że tak powiemy, gdzie religia schodzi w cień a powoli staje się zbyt bezczynna, uchodzi za wroga jak za rewolucji francuskiej albo u Marxa. Dawson przeprowadza historyczną analizę tego rozwoju. Tłumacząc bardzo głęboko przyczyny zeświecczenia postępu, mamy jednak wrażenie, że nie uwzględnił on dostatecznie w tym procesie roli czynnika osobistej moralności, to znaczy hamulców moralnych jakie religia chrześcijańska nakłada człowiekowi, bądź co bądź uciążliwych, i chęci ich złamania w imię postępu, jakoby do postępu należało rozwinąć wszelkie skłonności człowieka dodatnie i ujemne, jakoby człowiek miał stanąć po tamtej stronie dobra i zła, co jeśli nie jest paradoksem, prowadzi do stania się po stronie zła moralnego. Ten wzgląd zaważył niewątpliwie wyraźnie na oderwaniu postępu od religii i zwróceniu ich obojga naprzeciw siebie. Szusznynie jednak Dawson nazywa postęp zeświecczoną religią.

Dzisiaj widzimy, że religia postępu doprowadziła do barbarzyństwa, a zatem do absurdu — właśnie ponieważ wzięła rozbrat z religią chrześcijańską. Europa a z nią i świat cały stanął na rozdrożu: albo wrócić do podstaw religijnych cywilizacji i postępu, albo popaść w rozkład i barbarzyństwo; dodajemy od siebie, stoczyć się w przepaść bolszewizmu lub niemieczyzny.

„Religia postępu — pisze Dawson — powinna być religią historyczną, historycznym chrześcijaństwem z ideałami witalizmu rozwojowego. Postępująca intelektualizacja świata materialnego przez naukę powinna być uzgodniona z postępującym uduchowieniem natury człowieczej przez religię. Ostatni ideal to nie nadpaństwo, lecz społeczeństwo duchowe.”

Ks. K. Kantak

KRONIKA KULTURALNA

„Dziennik Żołnierza APW” przynosi pt. „Wolność słowa” bardzo interesującą notatkę następującej treści: „Sprawa wolności słowa w dzisiejszej Polsce jest jednym z atutów propagandowych naszych „demokratów” za granicą. Utrzymują oni bowiem, że ta wolność słowa nieistniejąca w Polsce faktycznie przed wojną, została obecnie zrealizowana przez wolnościowy reżim Bieruta. Zobaczmy, co o tym mówi warszawski „Robotnik” (Nr. 240) w artykule p. Ireny Tomskiej: „Tolerancja jest niewątpliwie rzeczą słuszną i piękną. Wolność słowa w Anglii imponowała nam zawsze. Ale przyznajmy szczerze — czy Polacy są narodem tak samo wyrobionym politycznie i kulturalnie jak Anglicy? Czy tego rodzaju swoboda wystąpienia nie popchnęłaby nas

wreszcie w przepaść faszyzmu? I dlatego, mimo niewątpliwej racji zasady wolności słowa, nie czas jeszcze, aby Polska mogła sobie na nią pozwolić.”

A więc z artykułu fałszywego „Robotnika” dowiadujemy się, że Polska nie dojrzała do tego, aby panowała w niej wolność słowa. Szusznynie, albowiem wolne słowo jest to siła, której boją się najwięcej ci, których panowanie opiera się jedynie na obcych bagnietach.”

Nakładem Oddziału Kult. i Prasy II Korpusu zaczęło wychodzić nowe czasopismo dla żołnierzy, dwutygodnik pn. „Mała Kronika”. Jest to ilustrowane czasopismo popularne, mające przynieść żołnierzowi lekką lekturę i rozrywkę. Pomysł bardzo dobry i świadczący (Dokończenie na str. 6)

POŻYCZKA I CO POTEM?

Sir William Beveridge, znany autor planu organizacji ubezpieczeń społecznych w Wielkiej Brytanii, ogłosił w czasopiśmie „The Star” interesujący artykuł, pod tytułem: „Pożyczka i co potem?”, omawiający konsekwencje, jakie z układu o pożyczce amerykańskiej wynikają dla W. Brytanii. Artykuł ten podajemy w obszernych wyjątkach.

Pierwszym pytaniem, jakie musimy zadać w związku z pożyczką, jest czy w ogóle była ona potrzebna? Dlaczego W. Brytania pożyczyła tak ogromną sumę właśnie teraz? Przecież dotychczas nigdyśmy w czasie pokoju tyle pieniędzy nie potrzebowali.

Konieczność zaciągnięcia pożyczki jest skutkiem wpływu, jaki wywarła wojna na strukturę ekonomiczną W. Brytanii, to znaczy na sposób, w jaki uzyskujemy materiałne środki, służące do zaspokajania naszych codziennych potrzeb — takich jak żywność, materiały felkstylnie, budowlane i inne. Środków tych nie produkujemy wyłącznie w naszym kraju z surowców przez nas posiadanych. Wręcz przeciwnie — importujemy wielką ich ilość, łącznie z żywnością i surowcami przemysłowymi. Normalnie, w czasach pokojowych, płacimy za import obcy naszym własnym eksportem gotowych fabrykatów oraz przewozami naszej floty handlowej i innymi usługami. Na tym polega właśnie znaczenie słusznego twierdzenia, że W. Brytania jest zależna w dużym stopniu od handlu międzynarodowego.

Nie możemy utrzymać obecnego stanu liczebnego naszej ludności ani też dotychczasowego standardu życiowego bez dużego importu. Musimy eksportować nasze własne fabrykaty i oddawać usługi, ażeby zapłacić za import. W czasie wojny ograniczyliśmy drastycznie zarówno nasz eksport jak i różne usługi z „shippingiem” czyli przewożeniem towarów włącznie. Uczyniliśmy to celowo. Bowiem częścią strategii wojennej było, że Wielka Brytania, jako wysunięta baza przeciw Niemcom, skoncentruje wszystkie swe wysiłki na bezpośrednim prowadzeniu wojny. Pociągało to za sobą drastyczne ograniczenie naszego eksportu i użytku floty dla celów handlowych. Zadłużyliśmy się ponad to u wielu państw obcych, na których terytoriach musieliśmy utrzymywać nasze siły zbrojne. Bez tych ograniczeń i długów nie moglibyśmy wygrać wojny w ogóle, albo tak szybko. W rezultacie znaleźliśmy się w dość ciężkiej sytuacji wewnętrznej. Musimy importować bezzwłocznie. Nie ma żadnych wątpliwości, że w swoim czasie odzyskamy — naszą zdolność płatniczą — wtedy gdy odbudujemy nasz eksport i flotę handlową. Tego nie uczynimy w przeciągu jednego roku.

Oczywiście, że Narody Zjednoczone, po zakończeniu działań wojennych mogły dojść do porozumienia i rozłożyć między siebie, stosownie do ich zdolności płatniczej, ciężary wojenne. Bylibyśmy radzi, gdyby i Stany Zjednoczone chciały podobnie stawiać sprawę. Stany Zjednoczone poniosły stosunkowo małe straty w wojnie. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę, że takie państwa jak Polska i Holandia, a może i Rosja poniosły straty wojenne niezwykle ciężkie, cięższe nawet od naszych, to widzimy, że takie załatwienie sprawy byłoby brzo trudne. Ustalanie procentu, jaki każdy z Narodów Zjednoczonych miałby zapłacić z tytułu długów wojennych, przyczyniłoby więcej nieporozumień w obozie aliantów niż cała sprawa jest warta. A ponieważ równocześnie nasi amerykańscy sprzymierzeńcy ani myśleli o przyjęciu na siebie na równi z nami ciężaru finansowego wojny, przeto nie pozostało nam nic innego, jak tylko pogodzić się ze stanem rzeczy, który się wytworzył. Bez względu na to, czy i jak korzystny lub niekorzystny jest obecny układ stosunków, musimy czynić wszystko, ażeby kulę ziemską uczynić lepszym miejscem zamieszkania dla wszystkich narodów.

Celem pożyczki amerykańskiej ma być odbudowanie naszego eksportu. Warunki pożyczki zawierają różne zastrzeżenia i zobowią-

zania co do współpracy z innymi narodami. Wszystkie te warunki zmierzają do tego, ażeby handel międzynarodowy uwolnił się od przeszkód w rodzaju tariff specjalnych i układów preferencyjnych między poszczególnymi państwami.

Wiele jest trudności w realizacji celów, jakimi ma służyć pożyczka. Przede wszystkim nie wiemy, czy czas, który mamy przed sobą dla naprawienia szkód, wyrządzonych przez wojnę naszym wyspom, jest wystarczająco długi. Inaczej mówiąc: czy pożyczka jest dość wielka? Ale nic nam innego nie pozostaje obecnie, jak użyć możliwe najlepiej to, co mamy. Przed nami jest pięć ciężkich lat próby, podczas których musimy powetować szkody wszelkiego rodzaju. Musimy pracować ciężko. Nie wolno nam używać przestarzałych metod ani środków produkcji, nie możemy znieść braku dyscypliny w przemyśle.

Wielką trudność stanowi sprawa układu w Bretton Woods. O tym winny wiedzieć Stany Zjednoczone, bowiem ratyfikacja tego układu — który zmierza do stabilizacji wymiany walut, ułatwienia i intensyfikacji handlu międzynarodowego — nie ma dla nas żadnego sensu, jeśli wszystkie wielkie potęgi świata nie zrozumieją w praktyce i teorii, co handel międzynarodowy znaczy. My tu w W. Brytanii — wiemy dobrze, że żadne

państwo nie może importować bez eksportu i odwrotnie. Ale polityka Stanów Zjednoczonych zmierza od dawna do osiągnięcia ideału czystego eksportu, przy jak najmniejszym imporcie. Konkretny swój wyraz znalazł ten ideał w sformułowaniu tariff amerykańskich. I tu powstaje pytanie: czy ci z Amerykanów, którzy naprawdę pragną przyczynić się do powstania wolnego handlu międzynarodowego, zdołają pokonać opozycję pewnych sfer w stosunku do obniżenia lub zniesienia tariff celnych.

Istnieje jeszcze jedna przeszkoda. Nie można zapewnić handlowi wszechświatowemu rozwoju bez pewnej stabilizacji, a to oznacza, że każde państwo biorące w tym handlu udział musi mieć swoją własną produkcję i konsumpcję ustabilizowaną, niepodlegającą gwałtownym zmianom, jakie przyniesie może prosperity lub kryzys.

Projekt zwołania światowej konferencji handlu i pracy, zawarty w umowie pożyczkowej, przewiduje, że „każde państwo przedsięwzięcie akcje, mającą na celu osiągnięcie i zapewnienie pełnego zatrudnienia wszelkimi metodami i środkami, jakie znajdują się w dyspozycji jego politycznych i ekonomicznych instytucji”.

Umowa o pożyczce jest pierwszym krokiem na długiej i ciężkiej drodze. Nikt nie może przewidzieć, czy cele tej umowy zostaną osiągnięte. Napewno nie będzie to łatwe. Ale uzyskanie zwycięstwa też nie było łatwe. Po osiągnięciu zwycięstwa winniśmy cele nasze stawiać wysoko. Musimy budować świat nowy i dobry. Nie moglibyśmy o tym nawet marzyć, jeśli byśmy nie doszli do porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi. Umowa o pożyczce ze wszystkimi swoimi konsekwencjami wywrze wpływ na ekonomiczną prosperity nie tylko naszego państwa, lecz każdego narodu z osobna i świata jako całości. Oby również była szczęśliwą wróżką dla współpracy w innych polach, przy rozwiązywaniu innych zadań jeszcze trudniejszych, jakie czekają narody świata, a przede wszystkim w dziele najtrudniejszym — zastąpienia wojny rządami prawa.

ZMIANY NA TWARZY ANGLIKA

1) W okresie najcięższych dni wojny



Przed przeczytaniem gazety



Po przeczytaniu gazety

2) Dziś — po wojnie



Przed przeczytaniem gazety



Po przeczytaniu gazety

(„Continental Newsweek“)

KRONIKA KULTURALNA

(Dokończenie ze str. 5)

chlubnie o staraniach, aby żołnierza otoczył troskliwością i opieką. „Mała Kronika”, której trzy pierwsze numery dotarły do naszych rąk, nie znalazła jednak jeszcze swego własnego wyrazu i stylu, wzorując się na znanym wydawnictwie angielskim „Lilliput”. Wydaje się, iż poszukanie własnego polskiego stylu pisma tak co do treści, jak co do strony zewnętrznej przyczyniłoby się do większego jego popularyzowania. Zyczymy nowemu czasopismu — szczęść Boże!